

DOROTA PONIŃSKA

Maria

DZIESIĘĆ DNI
Z ŻYCIA
KONOPNICKIEJ

L I R A
WYDAWNICTWO

Maria

DZIESIĘĆ DNI
Z ŻYCIA
KONOPNICKIEJ

DOROTA PONIŃSKA

Maria

DZIESIĘĆ DNI
Z ŻYCIA
KONOPNICKIEJ

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-68101-03-4

*Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobycze,
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki,
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni,
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
[...]*

*Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;
Wierzę w nieskończoności jasne ideały,
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez dzieje,
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.*

Maria Konopnicka, Credo

ŻARNOWIEC, MAJ 1910

DZIEŃ PIERWSZY: ELIZA

Chłodny świt wnika do sypialni przez uchylone okno. Maria budzi się, ale nie otwiera oczu. Leży w ciemności pod ciepłą kołdrą i wsłuchuje się w swoje ciało. Czy zdoła dziś wstać? Ostatnio to coraz trudniejsze. Brakuje i sił, i chęci. Słyszy ptaki, które jak szalone wypiewują radość istnienia, i trochę im zazdrości.

Od dawna choruje i leczy się: na gardło, na serce, na sprawy kobiece. Jeździ po europejskich uzdrowiskach, słucha rad lekarzy, bierze kąpiele, masaże i nowe kuracje. Przyjmuje lekarstwa zapisywane na kaszel, na zapalenie krtani, a czasem na nerwy. Ale tej wiosny doszło coś jeszcze. Niedawno w Wiedniu miała spuchnięte kostki, teraz puchną już kolana. Co to jest? Wiedeński lekarz zbadał ją i zalecił pijawki. Może się na to zdecyduje, bo na takich ciężkich, obrzękniętych nogach nie sposób chodzić. Za oknem wiosna zaprasza do spacerów — pachnącym ciepłym

wiatrem, barwami kwiatów na rabatach i cienistymi alejkami w parku. Drzewa owocowe i krzewy w sadzie stoją obsypane białym i różowym kwieciami. A ona czeka na ten wybuch wiosennego rozkwitu w swoim ogrodzie przez całą jesień i zimę.

Maria Konopnicka ma sześćdziesiąt osiem lat i czuje, że siły naprawdę ją opuszczają. Od dawna nie była taka słaba. Dziś chyba też zostanie w łóżku.

A maj w Żarnowcu jest taki piękny! Jesienią trudno wytrzymać w tej głuszy, zimą nie da się przejechać przez zasy, ale wiosna zachwyca — świeżością zieleni, zapachem bzów, błękitno-zieloną panoramą pagórków, łąk i lasów. Jak to dobrze, że kochana Eliza wynalazła dla niej ten dom! Ledwie trzy kilometry od stacji kolei w Jedliczu, skąd w parę godzin można dojechać do Krakowa albo w drugą stronę, do Lwowa. Wprawdzie Maria wołałaby mieszkać w zaborze rosyjskim, ale z formalnych względów możliwa była tylko Galicja. No, niech będzie i Galicja. Darowane mu koniowi w zęby się nie zagłąda...

Dawno już pasowana przez krytyków na narodową wieszczkę Maria Konopnicka parę lat temu otrzymała ten dom z ogrodem z okazji jubileuszu

dwudziestopięciolecia twórczości, jako dar „wdzięcznego narodu”, ale wiadomo było, że zawdzięcza go nieocenionej Elizie. To ona wiedziała, jak doskwiera Marii brak własnego kąta. I tułaczę życie, które wiodła od lat. Używając swych wpływów i autorytetu, Eliza zorganizowała narodową zbiórkę funduszy. Pisała listy, apelowała, przekonywała. Nie wypadało jej odmawiać. Taka lojalna przyjaciółka to prawdziwy skarb!

Dom w Żarnowcu ma swoje wady, ale ma też wiele zalet. Przede wszystkim — rozległe piętro, które mogło pomieścić pokoje Dulębianki: obszerną sypialnię i pracownię malarską z odpowiednim światłem. Bo odkąd pojawił się pomysł darowania jej domu, dla Marii było jasne, że zamieszka w nim tylko razem z Dulębianką. Nie z dziećmi, broń Boże nie z mężem, tylko z tą, z którą przez kilkanaście ostatnich lat były niemal nierozłączne.

Dulębianka to druga kobieta skarb w życiu Marii. Właściwie nie druga, tylko pierwsza, najważniejsza. O, nawet teraz, rzuciła wszystkie swoje sprawy: malowanie, swoją lwowską rodzinę, działalność społeczną, spotkania ze swoimi feministkami i z prasą, i siedzi tu z nią, by jej towarzyszyć w słabości i cierpieniu. Przecież na tym odludziu nie ma porządnej

opieki lekarskiej. Cóż by Maria zrobiła bez niej, trudno sobie wyobrazić. Jest jej bliższa, bardziej oddana i opiekuńcza — nawet niż własne dzieci.

Maria jest znużona. Po tylu latach życia na własny rachunek, opieki nad gromadą dzieci, wysiłku twórczego, tułaczki po krajach Europy, a także po latach znoszenia krytyki, ataków i plotek — ma prawo do tego znużenia. Chce ciszy i świętego spokoju. Żarnowiec miał być jej azylem, miejscem odpoczynku i cichej twórczości. Cóż z tego jednak, gdy wizytom i odwiedzinom nie ma końca? Sąsiedzi, dzieci sąsiadów, działaczki różnych kółek i stowarzyszeń — wszyscy czują się w prawie zakłócać im spokój i zabierać czas. Niepokoić prośbami. Zasięgać opinii. Zapraszać do udziału.

A daliby im wreszcie święty spokój! I pozwolili starej kobiecie spokojnie odpocząć w jesieni życia. Ale nie — ta galicyjska „dobroczynność”: cudzymi rękami, cudzą pracą!

— Chyba nam pani nie odmówi swego udziału...

— Liczymy, że nowy wiersz naszej wieszczki uświetni...

— Bylibyśmy zobowiązani, gdyby szanowna pani zechciała wygłosić odczyt...

A wszystko to — za darmo! Jakby jej doba miała sto godzin, jakby nie musiała od tylu lat zarabiać na siebie pracą.

Na szczęście teraz przynajmniej rozeszła się wieść, że jest chora, a Dulębianka nie przyjmuje żadnych wizyt i nie wpuszcza nikogo.

Maria otwiera oczy. Patrzy na zielen drzew za oknem. Jasność dnia pokazuje jej, że jest później, niż sądziła. Dobrze, że nie ma pilnych prac do skończenia. Zamyka oczy i łowi resztki snu.

Po jakimś czasie słyszy ciche pukanie. Uśmiecha się. Ona zawsze puka tak delikatnie...

Drzwi otwierają się lekko. Dulębianka stoi w nich wysoka, smukła, nadzwyczaj poważna. W białej bluzce i ciemnej spódnicy do ziemi. W krótko obciętych włosach widać już pierwsze srebrne nitki. Binokle na jej nosie błyszczą.

— Jak się czujesz? — pyta cicho, z czułą troską w głosie, wchodząc do pokoju.

— Jeszcze żyję — próbuje zażartować Maria i dostrzega w dłoni przyjaciółki list. — Od kogo? — pyta. Dulębianka waha się przez chwilę.

— To z Grodna...

— Eliza pisze?

— Nie.

Patrzą na siebie z niepokojem.

— Pokaż! — mówi Maria.

Dulębianka podaje jej list w zamkniętej kopercie i siada na fotelu. Tak, to nie jest pismo Elizy.

Maria podnosi się, opiera na poduszkach. Sięga po swoje binokle, leżące na stoliku przy łóżku. Rozrywa pospiesznie kopertę, przebiega oczami arkusz papieru zapisany czarnym atramentem. Zaledwie parę linijek.

— O Boże! — Ręka z listem opada jej bezwiednie i zastyga tuż nad dywanem.

— Co się stało? — dopytuje Dulębianka, ale tak, jakby się domyślała najgorszego.

— Eliza umarła... — szepcze Maria.

Co może zrobić najbliższa osoba w takiej chwili? Może milczeć. Może wziąć w ramiona i mocno przytulić. Pogłodzić po plecach. A potem szepnąć do ucha: tak mi przykro... I to właśnie robi Dulębianka.

Maria wtula się w nią. Opiera twarz na chłodnym batyście białej bluzki, przez którą czuje ciepłą, miękką skórę. Przeżyła już tyle strat i śmierci

bliskich — odeszli jej rodzice, brat, troje dzieci, mąż... Eliza zawsze była dla niej opoką. Taka strata! Taki żal. Ale oczy Marii są suche. Jakby wypłakała już swój przydział łez.

Maria zupełnie nie ma apetytu. Ani sił, żeby wstać i przygotować im obiad. Dulębianka jest kochaną istotą, ale w kuchni radzi sobie fatalnie. Na całe szczęście Józefowa, matka chłopca z sąsiedztwa, którego nauczyły czytać i posłały do szkół, z wdzięczności przynosi im coś czasem — dziś rano przyniosła pierogi z serem i śmietaną. Więc coś na skromny obiad jest. Ale Maria i tego nie mogłaby przełknąć. Bo jedyne, na czym może skupić uwagę, to kobieta, której zawdzięcza tak wiele, a która opuściła właśnie ten świat. Jej rówieśniczka. Eliza Orzeszkowa-Nahorska.

W sypialni panuje chłód — okna wychodzą na północ i na wysokie drzewa. Czerwone tulipany z owalnego gazonu przed domem stoją wazonie. Eliza też je lubiła, miała podobny bukiet w swoim salonie w Grodnie, kiedy odwiedziły ją ostatnio. Żadna z nich nie wiedziała, że widzą się po raz ostatni.

Maria leży na łóżku z przymkniętymi oczami. Nogi ma uniesione, oparte na poduszkach, jak zalecił doktor. A pod powiekami przepływają jej sceny z Elizą, z niemal całego jej życia.

Kiedy widziały się po raz ostatni, Eliza była już całkiem siwa, trochę ociężała i mocno rozczarowana życiem, a także ideałami i przekonaniami swej młodości. Zwątpienie, ten podstępny towarzysz dojrzałych lat. Jakiż kontrast z czasem, kiedy zobaczyły się po raz pierwszy!

Było to w Warszawie, już z górą pół wieku temu. Areną, która je połączyła, była pensja sióstr sakramentek na Nowym Mieście, uchodząca wówczas za najlepszą w Warszawie. Ojciec przywiózł tam Marię niedługo po przedwczesnej śmierci matki, by zaznała regularnej edukacji szkolnej, a może też dlatego, by usunąć ją ze smutnego, żałobnego domu. Eliza już tam była — oddana przez matkę, która ponownie wyszła za mąż po śmierci pierwszego męża, ojca Elizy.

Rezulutna i dobrze zorientowana koleżanka pokazała Marii z daleka drobną, chudą dziewczynkę z dwoma ciemnymi warkoczykami. Nie wyróżniała się urodą, ale miała to bystre, przeszywające

spojrzenie ciemnych oczu, które nadawało jej twarzy wyraz powagi, a nawet — mądrości.

— Zobacz, to jest Eliza — anonsowała z daleka koleżanka. — Uczy się najlepiej. Jak będziesz chciała, może za ciebie napisać wypracowanie po polsku, po francusku albo po niemiecku...

— Jak to? Dlaczego? — Maria nie zrozumiała.

Koleżanka wzruszyła ramionami.

— Normalnie. Pisze z taką łatwością, że pomaga innym, które się z tym męczą.

— Dla ciebie też pisała?

— Tak! Po francusku. I dostałam piątkę!

To Marii zaimponowało.

— Ja z tego nie skorzystam — powiedziała stanowczo. — Będę pisać sama. Może i dla innych też.

Rzeczywiście, wkrótce okazało się, że Maria tworzyła wypracowania z podobną łatwością jak Eliza. Ta praktyka je połączyła, obie oddawały koleżankom przysługi, pisząc dla nich nowe wersje zadawanych prac pisemnych. Jednak profesorowie przejrżeli ten proceder i nauczyli się po stylu rozpoznawać teksty ich autorstwa. Czy któremu z nich przyszło wówczas do głowy, że obie uzdolnione uczennice wyrosną kiedyś na pierwsze zawodowe literatki?

Zapewne nie, bo nie taki był przecież cel kształcenia dziewcząt. Siostry sakramentki rozumiały doskonale, że aby zamożne rodziny szlacheckie chciały oddawać im swoje córki na naukę, muszą wierzyć, że pensja przygotowuje je do roli dobrych żon i matek z wyższych sfer. Cóż takie panny musiały umieć? Tyle, by prowadzić zajmująco salonową konwersację w kilku językach, zabawiać gości grą na fortepianie i śpiewem, malować ładne akwarele, tańczyć lekko na balach i czarować wdziękiem mądrych kandydatów na męża. A przede wszystkim musiały przyjąć i zaakceptować rolę, jaką wyznaczyły im społeczeństwo i tradycja: miały się stać domowymi aniołami swych rodzin, miały służyć opieką, pomocą i wsparciem swoim mężom, dzieciom, rodzicom, dalszym krewnym i wszelkim potrzebującym.

A sobie? Sobie — nie. O sobie miały zapomnieć. Własne szczęście znaleźć w służbie innym. Jak anioł. Teraz Maria sądzi, że to nieludzkie. Może anielskie, ale nie ludzkie.

Ale wtedy wszystkie panienki z pensji sakramentek przyjmowały to jak zupełną oczywistość. Tak nauczały siostry i tak opisywały świat książki, które czytały.

Pani Klementyna z Tańskich Hoffmanowa pisała wprost, że młoda panna po wyjściu za mąż musi zapomnieć o sobie, a szczęścia i spełnienia szukać w oddanej służbie rodzinie, w opiece nad jej wszystkimi członkami. W poświęceniu dla dobra innych.

A Jan Jakub Rousseau w swoim traktacie o wychowaniu wysyłał podopiecznego Emila w dwuletnią podróż po świecie, która miała dopełnić jego edukację, ale wybranej mu na żonę Zofii kazał w tym czasie siedzieć w domu, zajmować się szyciem, haftem i tworzeniem koronek. Kiedy tworny nauczyciel francuskiego czytał na lekcji ten fragment, Marii przemknęła myśl, że ona też wolałaby przez dwa lata podróżować po Europie niż haftować serwetki i ozdabiać suknie koronkami. Ale w klasie stanowczy męski głos, wsparty autorytetem encyklopedysty, oznajmiał, że naturalnym celem kobiety jest rodzenie dzieci, prowadzenie domu, tworzenie komfortu rodzinnego i bycie użyteczną dla męża. Dlatego w wychowaniu Zofii należało rozwijać posłuszeństwo i pokorę, łagodność i giętkość. Rousseau uznał umysł Zofii za przyjemny, ale bez błyskotliwości, solidny, ale bez głębi. Toteż zamiast czytania poważnych książek, zlecał jej raczej kształcenie religijne.

Maria spędziła na pensji w Warszawie tylko rok, Eliza — całe pięć lat, nie widując matki nawet w czasie wakacji. Kiedy rozjechały się do rodzinnych domów, straciły kontakt ze sobą. Obie stały się pannami na wydaniu. I obie wpadły w wir tych panieńskich emocji związanych z balami, wieczorkami tanecznymi, korowodem kawalerów i oczekiwaniem na wielką miłość, która je uszczęśliwi. Burzliwe lata, pełne nadziei, namiętności, uczuć, z białą suknią i biciem kościelnych dzwonów, z wyprawą ślubną i przeprowadzką do nowego domu — domu męża. Same ekscytujące nowości. Obie, nie wiedząc o sobie nawzajem, budowały chętnie swoje nowe życie: poznawały sąsiadów, wydawały przyjęcia, prowadziły domowe gospodarstwo. Poznawały mężczyznę, który stał się ich mężem i opiekunem.

A jednocześnie był to czas gorzkich rozczarowań. Obietnice o szczęściu odnalezionym w dbaniu o dom i rodzinę się nie spełniły. Bo kiedy spotkały się ponownie po upływie dwudziestu lat, obie były samotnymi kobietami, które porzuciły swych mężów, nie zważając na nieuchronny skandal, nauki pani Hoffmanowej ani na trudy samodzielnego życia i zarabkowania. I obie walczyły o swoje miejsce w świecie literackim.

Gdy się odnalazły i zaczęły rozmawiać listownie, od razu powróciły dawna bliskość i życzliwość, teraz jeszcze wzmocnione podobieństwem losu i położenia. Choć ujawniły się i różnice: Eliza była już pisarką o ugruntowanej sławie i sporym dorobku, jej powieści i nowele powszechnie czytano i komentowano. Nie miała męża ani dzieci, ale miała finansowe zabezpieczenie dzięki odziedziczonemu majątkowi. Maria natomiast miała szóstkę dzieci, które zabrała ze sobą, opuszczając dom męża, i zaczynała dopiero publikować pierwsze wiersze w warszawskiej prasie. Utrzymywała siebie i dzieci z dawania lekcji i dorywczych prac literackich. Zdecydowała się na ogromny wysiłek i życie w biedzie. Czasem przytłaczały ją odpowiedzialność, nadmiar obowiązków i niedostatek. Niepewność co do przyszłości. I wtedy zrozumienie, życzliwość i wsparcie Elizy były dla niej jak ciepłe promienie słońca po burzy.

I to pytanie, które postawiła jej Eliza w liście: czy jesteś szczęśliwą?

Maria długo myślała nad odpowiedzią. Cóż to jest szczęście? Wieczorem, kiedy położyła już wszystkie dzieci do snu, zamiotła małe mieszkanko wynajmowane na Starym Mieście, zaparzyła herbatę, usiadła

przy kuchennym stole i zaczęła pisać odpowiedź, która została w niej na długo:

Czy jestem szczęśliwą? Powiem Ci, długo dosyć zdawało mi się, że — tak. „Zdawało się”! jakże łudzącym jest to małe słówko! „Zdaje się” nic ci nie brak; wstajesz, gdy ci się podoba; pijesz kawę z mniej więcej dobrą śmietanką; dowiadujesz się, że w oborze przybyło graniate ciele — a w kurniku kurczę czubate; w południe masz na obiedzie proboszcza lub jakiego zamaszystego sąsiada; wieczorem czytasz gazetę; w niedzielę podziwiasz jaskrawe stroje sąsiadek; i jesteś zadowolona z życia, z ludzi, z siebie nawet, zupełnie, jak na przyzwoitą osobę przystoi. Aż naraz — przychodzi jakiś wieczór gwiazdzisty, jakaś noc bezsenna, która ci w piersi rozbudza tęsknotę i nienazwane pragnienia; i pytasz się: co jest szczęście? a potem pytasz: jestem szczęśliwą? i nagle — robisz tak nadzwyczajne odkrycie jak Kolumb: w przeblysku światła spostrzegasz ład nowy, świat lepszy, wyższy. I czujesz po niespokojnych rzutach myśli, że nie jest jeszcze pełnym szczęściem mieć męża, który uważa żonę za swoje najstarsze dziecko; głośno całuje i głośno krzyczy; poluje, jeździ do miasteczka i o sporach granicznych rozprawia. Spostrzegasz, nieszczęsna, że nie wystarcza ci

graniacie ciele, dorodne główki kapusty, parę modnych fioków i rozmowa o niczym. Spostrzegasz, że byt twój jest bytem zamkniętego w klatce ptaka, który swoją drobną główkę, pełną motywów leśnych pieśni, rozbija o szczeble więzienia. Tęsknisz, pragniesz, płoniesz... Tym gorzej dla ciebie: legumina opadnie, suknie wyjdą z mody, co gorsza, zyskasz nazwę dziwaczki w sąsiedztwie. Zginiesz, jeśli całą energią świeżo zbudzonej duszy nie ukochasz jakiejś idei, większej o całe niebo od trosk twoich powszednich; jeśli sobie nie postawisz w myśli jakiegoś wysokiego celu; zginiesz, jeśli nie nauczysz się milczeć, przebaczać, obcować z przyrodą i szukać choćby drobnych okruchów wiedzy, jakie są przystępne samotnej wieśniaczce.

Jest już południe. Słońce świeci jasno, złote promienie oświetlają zielone liście drzew. Lekki wiatr porusza białą firankę w oknie.

Dulębianka znów zagląda do sypialni.

— Zaparzyłam ci werbenę z miętą — mówi i stawia na stoliku dużą filiżankę z naparem o kojącym zapachu. — Na pewno nic nie zjesz?

— Dziękuję ci — odpowiada Maria. — Nic.

— A może wyjdiesz na chwilę do ogrodu? Jest piękny dzień. Pomogę ci przejść.